NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 17700·— Mk. z przes. 18500·—Mk. Półrocznie 37000·— Mk. Rocznie 74000·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 200., od miejsca wiersza mlim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp. 600

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 1500 Marek.

Rok XX. Kraków, 26 maja 1923. Nr. 21.

Zamach na „dyplomatów" bolszewickich w Lozannie



(Rycina do artykułu na stronie drugiej)

Zamach na „dyplomatów“ bolszewickich w Lozannie.

(Do illustracyi tytułowej).

Bolszewicy, którzy u siebie w Rosyi są pospolitymi zbirami i oprawcami, mordującymi najniewinniejszych ludzi, za granicą, gdzie posyłają rozmaite „misye handlowe“, występują w roli wytwornych „dyplomatów“. Grupa takich „dyplomatów“ zjechała również na konferencyę lozańską. Przewodniczył jej kierownik „misyi handlowej“ w Rzymie Worowskij. Ale tu „dyplomatów“ bolszewickich spotkała przykra niespodzianka. Gdy Worowskij wraz z dwoma swymi towarzyszami Dybikowskim i Arensem spożywali kolacyę o g. 9-ej w. w hotelu „Cecil“ w Lozannie, wszedł jakiś mężczyzna i dał szereg strzałów do delegatów sowieckich. Worowskij padł trupem na miejscu, a jego towarzysze odnieśli ciężkie rany.

Aresztowany sprawca zamachu oświadczył, że nazywa się Conradi jest Szwajcarem, ale urodził się w Petersburgu, gdzie ojciec jego miał fabrykę czekolady.

Po wybuchu wojny wstąpił Conradi do rosyjskiej szkoły oficerskiej, skąd wyszedł jako podporucznik. Wkrótce potem raniony, powrócił do Petersburga, gdzie przez jakiś czas pracował jako instruktor w szkole oficerskiej. W kilka miesięcy później ruszył na front i został odznaczony krzyżem św. Jerzego. W chwili wybuchu rewolucyi był na froncie galicyjskim. Zgłosił się jako ochotnik do armii białej i walczył pod Korniłowem Wranglem przeciw bolszewikom. Po klęsce tych wodzów przybył w r. 1921 do Szwajcaryi, gdzie w Zurychu znalazł posadę. Dwóch jego stryjów zamordowali bolszewicy.

Conradi po zamachu oświadczył gościom hotelowym: „Pomściłem swego wuja i ojca. W czasie, gdy święci się pamięć bohaterów, chciałem światu wyrządzić przysługę i uwolnić świat od tych łajdaków“.

Rzecz charakterystyczna, że rząd sowiecki, mający na swem sumieniu tyle ofiar, pomordowanych w bestyalski sposób w Rosyi, z powodu zamordowania Worowskiego zorganizował demonstracyę w Moskwie i wysłał notę z pretensyami do rządu szwajcarskiego, iż ten nie zapewnił bezpieczeństwa „dyplomatom“ sowieckim. Jest to dzika pretensya, gdyż rząd szwajcarski, nie utrzymujący żadnych stosunków z republiką sowietów, nie chciał wogóle „dyplomatów“ sowieckich wpuścić w granice swego państwa. Ci wobec tego przyjechali na swoją własną odpowiedzialność i... ponieśli zasłużoną karę za zbrodnie bolszewickie.



Wycieczka dziennikarzy warszawskich we Włoszech: Grupa przedstawicieli dzienników warszawskich w Wenecyi

Fot. E. Graziadei. Wenecya.

Wycieczka dziennikarzy warszawskich we Włoszech.

Przez 3 tygodnie bawiła we Włoszech wycieczka dziennikarzy warszawskich. Zaproszona przez rząd włoski była obecną na wielkich uroczystościach rocznicy założenia Rzymu, poczem zwiedzała poszczególne miasta Włoch. Dziennikarzy polskich przyjmowano wszędzie niezmiernie serdecznie, a przyjął ich także król włoski i szef rządu Mussolini. Zamieszczona fotografia przedstawia wycieczkę dziennikarzy warszawskich podczas jej pobytu w Wenecyi.

Tajemnicze bomby w Krakowie.

Jacyś niewyśledzeni dotychczas sprawcy dokonali w Krakowie 3 zamachów. Najpierw rzucono bombę na ul. Studenckiej przed bramą mieszkania rektora Natansona. Wybuch na szczęście był słaby i poza częściowem zburzeniem bramy i wybiciem szyb w sąsiednich domach nie dokonał większego zniszczenia. W kilka dni później ci sami niewątpliwie sprawcy podłożyli bombę w hotelu Kellera na Kazimierzu. Wybuch był już znacznie silniejszy i zdemolował urządzenie wewnętrzne pokoju, lecz i tu obeszło się bez ofiar w ludziach. Tak samo na szczęście nie pociągnął za sobą ofiar w ludziach trzeci zamach, dokonany na dom przy ul. Orzeszkowej, w którym mieści się redakcya i drukarnia syonistycznego „Nowego Dziennika“. Wybuch bomby dokonał jednak olbrzymich spustoszeń w całym budynku. Bombę podłożono w klatce schodowej na 2 piętrze, gdzie mieści się



Tajemnicze bomby w Krakowie: Zdemolowane wnętrze lokalu redakcyjnego „Nowego Dziennika“

redakcya „Nowego Dziennika". Jak widzimy na załączonych fotografiach lokal redakcyjny został doszczętnie zniszczony, a cała część gmachu wraz z dachem została zburzona. Jedynie dzięki temu, że bombę podłożono w chwili, gdy na 2 piętrze nie było nikogo, należy zawdzięczać, że wybuch nie pociągnął za sobą żadnych ofiar w ludziach. Te trzy bomby podłożone przez niewykrytych dotychczas sprawców, wywołały w mieście olbrzymie wzburzenie i najrozmaitsze domysły. Dotychczas jednakże kursują tylko plotki, a bomby i ich sprawców otacza mgła tajemnicy.



Skazanie Kruppa: Rozprawa sądowa w Werden przeciw Kruppowi, skazanemu na 15 lat więzienia i 100 mil. grzywny.



Polska placówka w Berlinie: Siedziba Jeneralnego Konsulatu Rzeczypospolitej Polskiej.

Polska placówka w Berlinie.

Konsulat Jeneralny Rzeczypospolitej Polskiej w Berlinie, utworzony w listopadzie 1918 r. urzędował dłuższy czas w dwuch zupełnie oddalonych od siebie domach, co wpływało bardzo ujemnie na czynność samego urzędu, jak również było uciążliwe dla petentów, zmuszonych niekiedy chodzić z jednego biura do drugiego, mieszczącego się znów na innej ulicy. W czerwcu 1921 r. został zakupiony budynek, którego zewnętrzny wygląd przedstawia załączone zdjęcie. Za wyjątkiem trzech ubikacyi na I. piętrze, zajętych przez Radcę Handlowego tutejszego Poselstwa, wszystkie inne pokoje zajmują biura Kosulatu Generalnego. Aby osądzić znaczenie i ilość spraw załatwianych przez tutejszą placówkę, wystarczy wspomnieć tylko, że w najbardziej spokojnych dniach zgłasza się przeciętnie 500 interesantów dziennie, nie mówiąc już o tem, że bywają dnie, gdy przyjmuje się około 1000 petentów dziennie. To też, aby wypełnić nawał swoich obowiązków Konsulat zatrudnia 15 urzędników etatowych i 100 kontraktowych.

Konsulat urządził cykl wykładów, które uwzględniły życie oświatowe i kulturalne w poszczególnych zaborach, a dalszym tematem tych wykładów było odrodzenie Polski, jej obecny ustrój administracyjny i t.p. Wykłady te miały przedewszystkiem za zadanie — zapoznanie urzędników, pochodzących z jednego zaboru, z warunkami, w jakich żyli i wychowywali się ich koledzy w drugim zaborze.

Kierownikiem placówki jest Konsul Jeneralny p. Karol Rose, znany w tutejszej Polonii jako długoletni działacz na polu społecznem i politycznem. Zastępcą kierownika jest Konsul p. dr. Władysław Namysłowski.

Ze względu na ogrom pracy Konsulat Jeneralny w Berlinie dzieli się wewnętrznie na szereg wydziałów. Obecnie obejmuje on następujące wydziały: Wydział Prawniczy, Paszportowy, Wizowy, Robotniczy (który zajmuje się między innemi sprawą opieki społecznej), Zaopatrzeń i Zapomóg, Ekonomiczny i Finansowy.

Konsul Jeneralny pozostaje w ciągłym prawie



Tajemnicze bomby w Krakowie: Zewnętrzny widok zburzonego budynku „Nowego Dziennika" przy ul. Orzeszkowej.



Zuchwałe włamanie: Rozbita przez bandytów kasa w firmie Biasion przy Placu Szczepańskim w Krakowie.

kontakcie z kolonią polską. Wielu urzędników jego są członkami „Towarzystwa Naukowego Polaków“ w Berlinie, przez co mają oni możność stykania się z inteligencyą polską na odczytach, pogawędkach i wieczorkach, urządzanych przez to Towarzystwo. Inni znów zależą do Towarzystwa „Sokół“, grupującego w sobie pokaźną liczbę Polaków oddawna już tu zamieszkałych. W miarę możności Konsulat subwencyonuje rozmaite sprawy oświatowe, a w szczególności Biuro Komitetu Narodowego, zajmujące się repatryacyą.

Zuchwałe włamanie.

W nocy, kiedy policya krakowska była zaalarmowaną wybuchem bomby w domu „Nowego Dziennika“, bandyci dokonali niezwykle śmiałego włamania do sklepu firmy Biasion oraz do sąsiedniego sklepu gazowni i elektrowni miejskiej przy Pl. Szczepańskim w Krakowie. Sprawcy włamania weszli do środka kamienicy od ul. Jagiellońskiej, otworzywszy wytrychem znajdujace się obok głównego wejścia do Starego Teatru drzwi z siatki drucianej, które prowadzą do piwnicy. Następnie wybili w ścianie dziurę do sąsiedniej piwnicy, do której przeszli i stąd dostali się po schodach do sklepu Biasiona. Tu rozbili zamek przy kasie ogniotrwałej, w której jednakże nie znaleźli gotówki, ani też żadnych wartościowych rzeczy. Przebili zatem dziurę w ścianie do sklepu gazowni i elektrowni miejskiej i wycięli otwór w bocznej ścianie kasy ogniotrwałej, z której skradli 1,205.500 marek. Następnie zabrali się do rozbicia drugiej kasy, w której przechowana była gotówka w kwocie około 67-miu milionów Mk., lecz po przecięciu zewnętrznej ściany w kasie zaniechali dalszej roboty i wyszli tą samą drogą z powrotem, nie zauważeni przez nikogo. Na miejscu włamania nie pozostawili po sobie żadnych śladów.

Skazanie Kruppa.

Niemcy bronią się jeszcze w Zagłębiu Ruhry, bronią się swemi zwykłemi metodami — gwałtami i sabotażem. To też Francuzi, postępując z miejscową ludnością łagodnie i sprawiedliwie, z całą surowością prawa karzą podżegaczy. Po skazaniu całego szeregu urzędników niemieckich, władze francuskie aresztowały i oddały pod sąd „króla“ żelaznego z Essen bar. Kruppa, który podburzał robotników i organizował sabotaż. Wyrok zapadł surowy, bo skazujący Kruppa na 15 lat więzienia i 100 milionów marek kary, a inni współoskarżeni otrzymali kary od 2 miesięcy do 20 lat.

Może te surowe kary ostudzą zapał Niemców do sabotażu i gwałtów. W każdym razie świadczą, że Francya nie myśli się cofnąć i siłą przełamie opór niemiecki w Zagłębiu Ruhry.



Zaślubiny na dworze angielskim: Nowożeńcy, Elżbieta Bowes-Lyon i książę Yorku Albert w otoczeniu najbliższej rodziny.

W rocznicę założenia Wiecznego Miasta.

W dniu 21 kwietnia Rzym obchodził wielką uroczystość — rocznicę założenia Wiecznego Miasta. W święcie tem wzięły udział całe Włochy, a w Rzymie uroczystość zamieniła się w wielką rewię faszystów. Około 100.000 „czarnych koszul“ przedefilowało, przy entuzyastycznych okrzykach tłumów, przed swym wodzem Mussolinim, który w towarzystwie jen. Diaza, przybrany po raz pierwszy od chwili objęcia rządów w strój faszystowski, przyjmował defiladę. Moment ten przedstawia właśnie nasza illustracya.



Zaślubiny na dworze angielskim: Ceremonia zaślubin Elżbiety Bowes-Lyon z księciem Yorku Albertem, w katedrze westminsterskiej.



W rocznicę założenia Wiecznego Miasta: Mussolini w towarzystwie jen. Diaza dokonywa przeglądu faszystów w rocznicę założenia Rzymu.

A. CONAN DOYLE.

CZERWONA GWIAZDA

Tłómaczył Zbigniew Bodeński.

1)

Dom Teodoryusza, sławnego kupca ze wschodu, znajdował się w najlepszej części Konstantynopola, na Cyplu Morskim, obok kościoła świętego Demetryusza. Tutaj to podejmował on gości w tak książęcy sposób, iż wiadomem było że nawet sam cesarz Maurycy wymykał się potajemnie z sąsiedniego pałacu Bucoleon, by wziąć udział w zabawie. Tej wszakże nocy, o której mowa, to jest czwartego listopada roku Pańskiego 630, jego liczni goście wcześnie odeszli i pozostało z nim tylko dwóch serdecznych przyjaciół, którzy, podobnie jak i on sam, byli zamożnymi kupcami. Ci tedy siedzieli z nim przy winie na marmurowej werandzie jego domu, skąd po jednej stronie widać było światła okrętów na morzu Marmara, a po drugiej latarnie morskie, znaczące bieg Bosforu. Tuż pod ich stopami leżała wązka cieśnina, a za nią majaczyły się ciemne zarysy wzgórz azyatyckich. Lekka mgła przesłaniała niebiosa, lecz hen daleko w południowej stronie samotna czerwona gwiazda płonęła posępnym blaskiem w ciemnościach.

Noc była chłodna, a trzej mężczyźni gawędzili swobodnie w łagodnem świetle, wracając myślą do dawnych czasów, w których stawiali na kartę swój kapitał, a często i życie na wyprawach, którym zawdzięczali swe obecne bogactwa. Gospodarz mówił o swoich długich podróżach w północnej Afryce, krainie murzynów; o tem jak podróżował na zachód, mając błękitne morze wciąż po prawej ręce, aż minął ruiny Kartaginy. A potem jechał dalej, coraz dalej, aż ujrzał przed sobą wielki przypływ oceanu, bijący o żółte brzegi, a po prawej wynurzającą się z fal wysoką skałę, która oznaczała Słupy Herkulesa. Opowiadał o ciemnoskórych, brodatych ludziach, o lwach i potwornych wężach.

Potem Demetryusz z Cylicyi, surowy, sześćdziesięcioletni mężczyzna opowiedział, w jaki sposób zdobył swój ogromny majątek. Mówił o podróży poza Dunaj i przez kraj dzikich Hunnów, aż znalazł się z przyjaciółmi w potężnych lasach Germanii, nad brzegami wielkiej rzeki zwanej Łabą. Opowiadał o wielkoludach gnuśnych lecz morderczych przy kielichach, o nagłych bitkach o północy i o nocnych ucieczkach, o wioskach zakopanych w gęstych lasach, o krwawych ofiarach pogańskich i o niedźwiedziach i wilkach, które grasowały na drogach leśnych. Tak to dwaj starsi mężczyźni prześcigali się wzajemnie w swych opowiadaniach i budzili swe wzajemne wspomnienia, a Manuel Ducas młody kupiec, handlujący złotem i piórami strusiemi, którego imię było już znane na całym wschodzie, siedział w milczeniu i przysłuchiwał się ich rozmowie. Ale nakoniec zwrócili się do niego o anegdotę, a on wsparty na łokciu z oczyma utkwionemi w wielką czerwoną gwiazdę jaśniejącą na południu tak zaczął mówić:

Widok tej gwiazdy przywodzi mi na myśl pewne zdarzenie. Nie znam jej imienia i nie pragnę się go dowiedzieć, choć stary Lascaris, astronom powiedziałby mi ję, gdybym się go zapytał. Jednakże o tej porze roku zawsze jej wyglądam i widzę ją też rok rocznie płonącą w tem samem miejscu. Lecz wydaje mi się, że jest większa i czerwieńsza niż przedtem.

Z dziesięć lat temu wybrałem się na wyprawę do Abisynii, gdzie handlowałem z tak dobrym skutkiem, że puściłem się w powrotną drogę z przeszło stu wielbłądami, objuczonymi skórami, kością słoniową, złotem, korzeniami i innymi płodami afrykańskimi. Dowiozłem to wszystko na brzeg morza do Arsinoe i w pięciu małych łodziach krajowych przeprawiłem się przez Zatokę Arabską. Nakoniec wylądowałem w pobliżu Saby, która jest punktem wyjścia dla karawan. Tam zebrałem wielbłądy, z pomiędzy koczowniczych Arabów wynająłem straż z czterdziestu ludzi i wyruszyłem do Macoraby. Z tej miejscowości, która jest świętem miastem tamtejszych bałwochwalców, można się zawsze przyłączyć do wielkich karawan, które dwa razy do roku udają się na północ do Jerozolimy i na wybrzeża Syryi.

Droga nasza była długa i nużąca. Po lewej stronie mieliśmy Zatokę Arabską, leżącą w upalny dzień jak jezioro roztopionego metalu, ale zamieniającą się co wieczór, gdy słońce zachodziło za dalekim wybrzeżem Afryki w morze krwi. Po prawej znajdowała się okropna pustynia, rozciągająca się, o ile mi wiadomo, przez całą Arabię i dalej aż do odległego królestwa Persów. Przez wiele dni nie widzieliśmy śladu życia, prócz naszej własnej długiej porozrzucanej linii wielbłądów i ich obszarpanych dozorców. W owych pustyniach miękki piasek zagłusza stąpania zwierząt, tak, że ich ciche posuwanie się wśród wiecznie niezmiennej i bezgłośnej sceneryi stawało się nakoniec podobne do dziwnego snu. Często, gdy jechałem za swą karawaną, wpatrując się w te dziwaczne istoty dźwigające moje towary, z trudnością przychodziło mi uwierzyć, że byłem w rzeczy samej Manuelem Ducas, który mieszkał obok bramy Teodoryusza w Konstantynopolu i co niedzielę popołudniu oklaskiwał Zielonych w hipodromie, a który teraz znalazł się w tak dziwnym kraju i w tak osobliwem towarzystwie.

Od czasu do czasu zdala na morzu dostrzegaliśmy białe trójkątne żagle łodzi, używanych przez lud tamtejszy, lecz ponieważ są to wszystko piraci, radziśmy byli, że się znajdujemy na brzegu. Nadto parę razy nad brzegiem wody widzieliśmy karłowate stworzenia, trudno było powiedzieć, czy ludzie, czy małpy, którzy mieszkają w norach, wygrzebanych wśród wodorostów, piją z kałuż słonawej wody i jedzą co złowią. Są to zjadacze ryb, Ichtyofagowie, o których mówi stary Herod t — niewątpliwie najniżsi z całego rodu ludzkiego. Nasi Arabowie wzdrygali się przed nimi ze wstrętem, bo wiadomo im dobrze, że gdy kto umrze w pustyni, ludzie ci obsiądą go jak wrony padlinę i nie zostawią ani jednej kości nieogryzionej. Szwargotali i skrzeczeli, wymachując chudemi ramionami przy naszym przejeździe, wiedząc dobrze, że mogli rzucić się do morza, gdybyśmy usiłowali ich ścigać, bo podobno nawet rekiny odwracają się ze wstrętem od ich plugawych ciał.

W ten sposób podróżowaliśmy przez dziesięć dni, obozując co wieczór przy nędznych studniach, które nam użyczały drobnej ilości obrzydliwej wody. Mieliśmy zwyczaj wstawania bardzo wcześnie i podróżowania późno, lecz zato zatrzymywaliśmy się podczas nieznośnego gorąca popołudniu. Wówczas z braku drzew tuliliśmy się w cieniu wzgórz piaszczystych, albo, jeśli i tych nie było, za naszymi własnymi wielbłądami i towarami, by uniknąć żaru słonecznego nie do zniesienia. Siódmego dnia byliśmy w pobliżu punktu, gdzie droga porzuca wybrzeże morskie i kieruje się w głąb lądu ku Marocabie. Zakończyliśmy nasz popas południowy i właśnie ruszaliśmy w dalszą drogę, gdy podnosząc oczy, ujrzałem niezwykły widok. Na wzgórku po prawej stronie stał człowiek ze czterdzieści stóp wysoki, trzymając w ręce dzidę wielką jak maszt dużego okrętu. Patrzycie na mnie ze zdziwieniem przyjaciele, możecie sobie przeto wyobrazić moje uczucia, gdy taki widok ujrzałem. Lecz rozsądek wnet mi powiedział, że ten przedmiot przedemną był to w rzeczywistości wędrowny drab, którego postać uległa ogromnemu powiększeniu przez załamanie powietrza pustynnego.

Jednakże rzeczywiste zjawisko większą wzbudziło trwogę wśród moich towarzyszy, niż we mnie to urojone. Z wyciem przerażenia skupili się w wystraszoną grupkę i wśród żywych gestykulacyi wpatrywali się w oddaloną postać. Zauważyłem wówczas, że człowiek ten nie był sam, lecz, że z poza wszystkich wzgórz piaszczystych spoglądał na nas szereg głów w turbanach. Dowódca eskorty przybiegł do mnie i doniósł mi, iż przyczyną ich przestrachu było to, że po jakiejś osobliwości w ubiorze głowy rozpoznali, iż ludzie ci należeli do plemienia Dilwasów, najdzikszego i najbardziej rozbójniczego z pośród Beduinów, którzy widocznie urządzili na nas zasadzkę, w zamiarze schwytania karawany. Gdy pomyślałem o wszystkich mych wysiłkach w Abisynii, o mej długiej podróży i o wszystkich trudach i niebezpieczeństwach, które przebyłem, nie mogłem pogodzić się z myślą, żeby w ostatniej chwili miała mnie spotkać zupełna klęska, pozbawiając mnie nietylko zysków, lecz również i pierwotnych nakładów. Widoczne jednak było, że rozbójnicy byli zbyt liczni, byśmy mogli próbować obrony i, że będziemy bardzo szczęśliwi, jeżeli ujdziemy z życiem. Siedząc więc na pakunku, polecałem mą duszę świętej Helenie, śledząc z rozpaczą w oczach ukradkowe a groźne zbliżanie się rozbójników arabskich.

Może było to nasze własne szczęście, a może sprawiła to hojna ofiara ćwierćfuntowych świec z wosku pszczelnego, które w myśli ślubowałem świętej Helenie, dość, że w tej chwili usłyszałem głośny okrzyk radości wśród mych własnych towarzyszy. Stając na pakunku, by lepiej móc widzieć, spostrzegłem z niezmierną radością długą karawanę, złożoną conajmniej z pięciuset wielbłądów z liczną, uzbrojoną strażą, nadjeżdżającą drogą z Marocaby. Nie potrzebuję wam mówić, że jest zwyczajem wszystkich karawan, łączyć swe siły przeciw rozbójnikom pustynnym, a przy pomocy tych przybyszów staliśmy się silniejszą stroną. Rabusie ci rozpoznali to natychmiast, gdyż znikli jak gdy ich rodzime piaski pochłonęły. Wbiegając na szczyt wzgórza piaszczystego, zdołałem już tylko dostrzedz obłok kurzu, oddalający się poprzez żółtą równinę, a w pośrodku jego długie szyje ich wielbłądów, rozwiane obszerne szaty i przebłysk grotów. Tak znikli rabusie.

Wnet jednak ujrzałem, że zamieniłem tylko jedno niebezpieczeństwo na drugie. Naprzód spodziewałem się, że ta karawana należy może do jakiego obywatela rzymskiego, albo przynajmniej do jakiego chrześcianina syryjskiego, lecz znalazłem, że była całkowicie arabska. Rozumie się, że handlarze arabscy osiedleni w licznych miastach Arabii są o wiele bardziej pokojowi, niż biedni stepowi, ci synowie Ismaela, o których czytamy w Piśmie świętem, lecz krew arabska jest chciwa i nieposkromiona. Przeto, gdy ujrzałem, jak kilkuset z nich uszykowało się w półkole dookoła naszych wielbłądów, spoglądając pożądliwie na skrzynie szlachetnych kruszców i pakunki piór strusich, obawiałem się najgorszego.

Przewódca nowej karawany był to człowiek o pełnem godności zachowaniu i znakomitym wyglądzie. Wiek jego oceniłbym mniej więcej na czterdzieści lat. Miał orle rysy, szlachetną czarną brodę i tak świetliste, badawcze i wytężone oczy, że nie przypominam sobie, bym widział drugie takie we wszystkich moich wędrówkach. Na moje podziękowania i powitania odpowiedział formalnym ukłonem i stał w milczeniu, gładząc sobie brodę i patrząc na to bogactwo, które nagle wpadło w jego moc. Pomruk ze strony jego towarzyszy ukazywał niecierpliwość, z jaką oczekiwali rozkazu rzucenia się na łup, a młody zbój, który zdawał się być na poufałej stopie z przewódcą, podszedł do niego i głośno wyraził życzenia swych towarzyszów.

— Niewątpliwie, o przewielebny, ci ludzie i ich skarby zostali wydani w nasze ręce. Gdy wrócimy do świętego miasta, któż wśród wszystkich Koraiszów nie ujrzy w tem palca Bożego, który nas prowadził?

Lecz przewódca potrząsnął głową.

— Nie, Ali, to być nie może — odrzekł. — Człowiek ten jest, jak sądzę obywatelem rzymskim i nie możemy go traktować, jak gdyby był bałwochwalcą.

— Lecz jest niewiernym! — zawołał młodzieniec, dotykając wielkiego noża wiszącego mu u pasa. — Gdybym ja miał być sędzią, straciłby nie tylko swój towar, lecz również i życie, jeśliby nie przyjął wiary.

Lecz starszy uśmiechnął się na to i potrząsnął głową:

— Nie Ali, zbyt jesteś szalony — rzekł. — Gdybyśmy chcieli odbierać życie i mienie wszystkim, którzy nie są z nami, mielibyśmy istotnie dużo do roboty, gdyż jak dotąd niema jeszcze na świecie ani trzystu wiernych. Nie zapominaj kochany chłopcze, że miłość bliźniego i uczciwość są podstawą prawdziwej wiary.

— Wśród wiernych — rzekł okrutny młodzieniec.

— Nie, względem każdego. Takie jest prawo Allaha. A jednak... — tu jego oblicze sposępniało, a oczy zabłysły złowrogiem światłem — wnet nadejdzie dzień, gdy godzina łaski przeminie, a wówczas biada tym, którzy nie słuchali!

(Ciąg dalszy nastąpi)

JADWIGA MIGOWA.

Dom, którego nie było...

Historya osobliwa.

1)

ROZDZIAŁ I.

Willa „Uroczysko".

— Brawo!... brawo!...

— Korabiec!... Korabiec!..

Jarząca światłem, skrząca złoceniami sala teatru trzęsła się formalnie od oklasków i okrzyków rozentuzyazmowanej publiczności. Owacyom, wywoływaniom nie było końca. Z lóż z pierwszych rzędów krzeseł, z galeryi padały kwiaty, uderzały o pierś, o ręce, staczały się do stóp ulubionego aktora, który stał bez ruchu, lekkiem tylko nachyleniem głowy dziękując za tyle uznania... Jedna z pań, śliczna brunetka o wielkich niewinnych oczach dziecka i namiętnych, płonących purpurową krwią ustach miłośnicy — rzuciła mu pysznie rozkwitłą czerwoną różę. Przegięcie postaci, błysk oczu, drganie warg — wskazywały, że piękna kobieta wślad za tym kwiatem szkarłatnym i wonnym serce by swoje rzucić chciała w darze...

Ale aktor nawet nie podniósł róży... Twarz jego — niedawno w końcowej, wielkiej scenie sztuki ożywiona tak wyrazistą mimiką (toć Korabiec był również jedną z „gwiazd" filmowych), zastygła obecnie maską martwej obojętności...

— Korabiec!... Korabiec!... — wyła widownia.

Nagle Korabiec drgnął, podniósł głowę, wyprostował się... Zdawało mu się, że tę symfonię podziwu, uwielbienia, zachwytu — przeciął zgrzytliwy akord szyderczego chichotu... Tak! ktoś się śmiał szyderczo, urągliwie.. Kto śmie?!

Mimowoli — sam nie wiedząc dlaczego — skierował spojrzenie do loży prosceniowej.

W loży tej siedziała tylko jedna stara — czarna ubrana kobieta i ciemnemi, głęboko osadzonemi oczyma patrzyła prosto w uszminkowaną twarz aktora i śmiała się... — ironicznie, z politowaniem...

— Ona ma racyę! — przemknęło przez mózg Korabcowi — ona jedna!... ten wyjący motłoch nie zna się na niczem!... Grałem fatalnie!... tylko grałem!... to było aktorstwo... komedyanctwo... ale to nie był on... wojewoda...

Nie krytykował dotychczas nigdy tak surowo własnych kreacyi... Jak każdy aktor miał kolosalną dozę zarozumiałości w sobie, a przecież rola wojewody w „Mazepie" należała do najlepszych w jego repertuarze... Teatr był zawsze wysprzedany... publiczność zachwycała się... recenzenci nie szczędzili gorących słów uznania...

A jednak... jednak w tej chwili uczuł nieprzepartą chęć zrzucenia jaknajrychlejszego kontusza, karabeli, imitacyi słuckiego pasa, tych szat małpujących strój dumnego, pysznego wielmoży... Jakby go paliła ta pożyczana skóra... ten szych teatralny, który był dotychczas jego dumą — jego życiem...

Cofnął się za kulisy i pomimo nowej burzy oklasków i wywoływań nie pokazał się już więcej. Poszedł prosto do swej garderoby i zaczął się pospiesznie, niemal gorączkowo rozcharakteryzować... Przybiegł tam za nim dyrektor:

— Panie Zygmuncie!... chcą pana koniecznie widzieć jeszcze!... Chodź pan!...

— Nie!... Mam tego dosyć!...

— Przyniesiono w tej chwili wspaniały kosz kwiatów dla pana!... Chodźże pan!...

Korabiec zawahał się. Już, już miał iść za dyrektorem, gdy wtem zadźwięczał mu w uszach szyderczy chichot starej kobiety z loży prosceniowej. Zadźwięczał tak wyraźnie, tak blizko — jakby tuż przy nim...

Z pasyą, z irytacyą — zerwał perukę z głowy.

— Nie!... nie wyjdę!... Niech mi przyniosą kwiaty tutaj —do garderoby!...

— Publiczność obrazi się!...

— Wszystko mi jedno!...

— Ależ, panie Zygmuncie, tak nie można!...

— Dajcie mi święty spokój!... Nie chcę!... nie wyjdę i koniec!... — rozcharakteryzowywał się w dalszym ciągu.

— Zwaryował - jak Boga kocham!... — złapał się za głowę dyrektor i wybiegł z garderoby.

Na korytarzu koledzy i koleżanki Korabca rzucali uszczypliwe uwagi.

— Co za poza!...

— Przewróciło mu się w głowie!... Zdaje mu się, że jest największym artystą Polski...

— Co to Polski!... Europy!... Ameryki!... całej kuli ziemskiej!... Marsa!... Jupitera!... Saturna!... — ironizował młody aktor, który grał Mazepę z bardzo miernem powodzeniem.

— No! no!... zazdrość przez was mówi!... — stanęła w obronie Korabca Amelia - w codziennem życiu Rena Zanetoni, w metryce Barbara Kręciołek — Zygmunt nie jest żadnym kabotynem... Jest widocznie tylko zmęczony i ma dość tych hałaśliwych owacyi...

— Ty, Renusiu nie zmęczyłabyś się tak szybko — uśmiechnęła się zjadliwie „dramatyczna matka" — tylko, że przy Korabcu i dla ciebie zabrakło oklasków...

Amelia zaczerwieniła się pod szminką.

— Ja mam jeszcze dość czasu na zbieranie wawrzynów — odrzuciła — ale, że tobie się spieszy — to się nie dziwię...

Nie czekając odpowiedzi „dramatycznej matki", która aż zachłysnęła się z gniewu, podeszła do drzwi garderoby Korabca i zapukała:

— Proszę!...

Zmywał właśnie twarz gorącą wodą.

— Cudowny byłeś!... cudowny!... zaćmiłeś nas wszystkich!... — rzekła słodko cierpkim tonem Rena.

— Gadanie!... — wzruszył ramionami — co wy się wszyscy na tem znacie!...

— No wiesz, przyjemny masz dzisiaj humorek!... Co ci się stało?!

— Nic!...

Otarł twarz ręcznikiem i spojrzał na stojącą przed nim kobietę. Była jeszcze w kostyumie Amelii i jasno blond peruce. Wydała mu się dziwnie śmieszna — podobna do lalki z panopticum, mającej przedstawiać piękną, rasową kobietę...

— Chcesz czego odemnie?...

— Idziemy na kolacyę do Bristolu... Idzie Niusia, Rawicz, Kolinkiewicz, będzie hrabia Cześ no i jeszcze kilku „bubków"... Zabawimy się doskonale!...

— Nie mam ochoty!...

— Ależ, Muś, nie dziwacz — przesunęła wypieszczoną ręką po jego włosach — musisz być koniecznie!... Przecież ta kolacya, to głównie dla Ciebie — dla uczczenia twojej wspaniałej kreacyi...

— Cha! cha! cha!... — zgrzytnął śmiech tak dobitnie, że Korabiec obejrzał się, czy za nim kto nie stoi. Nie było nikogo.

— Dobrze!... dobrze!... — przyrzekł, aby się jej pozbyć — Przyjdę... ale nieco później... Teraz jestem zbyt wyczerpany, muszę wypocząć...

— Ale przyjdziesz napewno? słowo?

— Słowo.

— No to pamiętaj — będziemy w „malinowej sali".

Skoro tylko zniknęła za drzwiami — Korabiec przekręcił klucz w zamku. Chciał na chwilę zostać sam w spokoju, aby zebrać myśli dziwnie jakoś dzisiaj rozproszone, rozbite.. Usiadł przy toalecie z wielkiem lustrem, przed którem charakteryzował się zawsze.

Nagle wstrząsnął się — rzucił całem ciałem w tył — przerażony i zdumiony. W tafli zwierciadlanej obok odbicia własnej niezwykle bladej twarzy — ujrzał oblicze kobiety z loży prosceniowej, wykrzywione szyderczym uśmiechem...

Krzyknął i obrócił głowę... Drzwi, które własnoręcznie dopiero co zamknął na klucz były otwarte, a w progu stała czarna kobieta z loży... Cicho bez szelestu postąpiła kilka kroków naprzód.

— Jak pani otworzyła drzwi? — wyjąkał — przecież były zamknięte na klucz?

— Widocznie źle były zamknięte, otwarłam je z łatwością...

Czarne, zapadłe oczy świeciły niesamowicie, fascynująco jak próchno w chmurną, bezgwiezdną noc.

— Pani sobie życzy?...

— Pan oczekiwał na mnie...

— Ja... na... panią oczekiwałem... — chciał zamarkować zdziwienie, ale nie udawało mu się to. Czuł, że istotnie czekał na tę kobietę.

— Zauważył mnie pan w teatrze?...

— Zauważyłem... Pani nie podobała się moja gra...

— To nie był wojewoda,..

— To nie był wojewoda... — powtórzył jak echo.

— Pan mógłby stworzyć coś innego... coś wielkiego... coś prawdziwego... Ale przedtem musi się pan wyrwać na jakiś czas z tego otoczenia.. odetchnąć innem powietrzem... zobaczyć innych ludzi, takich jakich pan dotychczas nie widział.

— I gdzież ich zobaczę?...

— Tutaj...

Mignęła mu przed oczyma fotografia, przedstawiającą na tle hal tatrzańskich z szałasami juhasów — pałacyk o dziwacznej jakiejś architekturze gotycko-renesansowo-nowożytnej... Pałacyk ten czy zameczek czy willa — położony na wyniosłem wzgórzu królował ponad schludnymi małymi domkami... A wszystko to tonęło w powodzi pól rozkwitłych krokusów...

Korabiec wpatrzył się w ten osobliwy krajobraz. Jakiś prąd magnetyczny przepływał z tego kawałka papieru do jego zwojów mózgowych. Zapragnął zobaczyć to wszystko — w rzeczywistości.

— Co to za miejscowość?

— Dolina Krokusów!

— Dolina Krokusów — nie słyszałem o takiej miejscowości... Gdzie to leży?

— W Tatrach — w bok od Nowego Targu. Autobus czeka w Nowym Targu. Dojedzie pan wygodnie.

— Doprawdy... nigdy nie słyszałem...

— Chyba pan zapomniał... O! proszę spojrzeć na mapę...

Rozłożyła przed nim na stole mapę Podhala. I długim, chudym palcem wskazała mu napis — Dolina Krokusów..

— Istotnie... ach! to tutaj... że też ja mogłem zapomnieć... A ten dom na górze?...

— To willa „Uroczysko"... Mógłby pan tam zamieszkać...

— Tak! tak!...

— Ale tam towarzystwo jest zamknięte... wybrane... Nie każdego przyjmują...

Korabiec uczuł się obrażonym:

— Ależ proszę pani — chyba ja...

— Widzi pan, tam trochę inaczej patrzą na ludzi i na rzeczy...Ale jeżeli panu ten dom się podoba, to ja panu dam niezawodne polecenie...

Chciał się oburzyć, że ktoś chce polecać jego, Zygmunta Korabca, chlubę teatru polskiego, ale ta dziwna kobieta wywierała na niego taki wpływ przemożny, a chęć poznania „Doliny Krokusów" i zamieszkania w willi „Uroczysko" była tak silną, że wyrzekł:

— Jeżeli pani tak łaskawa...

— Ale musi pan iść ze mną — do mego mieszkania...

— Chętnie.. Gdzie pani mieszka? kiedy mam się stawić?

— Mieszkam na ulicy Świętojańskiej... ale musi pan iść ze mną zaraz...

— Zaraz? teraz?

— Tak.

Spojrzał na nią badawczo. bardzo naturalne podejrzenie zaświtało mu w głowie:

— Czy mogę dowiedzieć się, jak się pani nazywa?

— Cóż panu po mojem nazwisku?

— To chyba proste, że chciałbym wiedzieć z kim mam do czynienia...

Wbiła w niego swoje fascynujące spojrzenie.

— Pan lęka się? No to, niech pan zostanie tutaj. Kto się boi, nie może wstąpić w progi willi „Uroczysko"...

— Ja się nie boję! — wrzasnął Korabiec — Idę z panią.. Miałbym się bać?! Noszę zresztą zawsze rewolwer przy sobie...

Uśmiechnęła się:

— Ach! rewolwer... znam lepszą broń...

— Jaką?

Nie odpowiedziała, lecz wysunęła się tak jak weszła bezszelestnie z garderoby. Korabiec szedł za nią. Wieczór był ciepły, chmurny... — Kobieta w czerni szła naprzód.. Kilkakrotnie zdało się Korabcowi, że mu znika z przed oczu, jakby wsiąkła w mrok nocny... Ale zaraz wyłaniała się w świetle lamp elektrycznych jej długa czarna sylwetka...

Na ul. Świętojańskiej zatrzymali się przed jedną z kamienic. Korabiec chciał dzwonić na stróża, ale kobieta rzekła krótko:

— Nie trzeba.

Korabiec odniósł wrażenie, że brama otwarła się sama. Ale wyśmiał własne urojenie:

— Co za przywidzenie!... Oczywiście, że ma klucz, więc otwarła bramę!... Istotnie nerwy moje muszą być mocno rozstrojone i pobyt w Dolinie Krokusów doskonale mi zrobi.

Zaświecił kieszonkową latarkę elektryczną, ale przewodniczka nie czekając na światło, wyprzedzała Korabca, który z pewną ostrożnością postępował po dość stromych schodach...

Minęli pierwsze piętro, potem drugie... Korabcowi znowu wydało się, że mu czarna kobieta znika z przed oczu... Zaraz wszakże dał się słyszeć jej głos:

— Czy pan idzie za mną?

— Tak jest.

— To już tutaj... niech pan zaczeka...

Znaleźli się na trzeciem piętrze, stanowiącem rodzaj facyatki.

— Nie proszę pana do mieszkania, bo tam nieporządek... Ale niech pan chwilkę zaczeka...

— Dobrze, proszę pani...

Oświetlił latarką biało lakierowane drzwi, chcąc się dowiedzieć nareszcie, jak się nazywa jego nowa znajoma. Na drzwiach jednak nie było żadnej tabliczki ani też biletu wizytowego.

Nie czekał długo — zaledwie kilkanaście sekund. Kobieta ukazała się, trzymając w palcach pierścień, który podała Korabcowi.

— Ten pierścień otworzy panu w Dolinie Krokusów wszystkie drzwi i wszystkie serca..

Korabiec obejrzał z ciekawością ofiarowany mu przedmiot. Pierścień miał kształt węża, którego oczy świeciły czarno-zielonymi, nieznanymi aktorowi kamieniami. Wewnątrz pierścienia wyryto jakieś niezrozumiałe znaki, runy czy hieroglify...

— Komuż mam oddać ten pierścień?...

— Gospodyni willi „Uroczysko".

— I to wystarczy?

— Najzupełniej!...

— A jeśli mnie pytać będą o nazwisko osoby, która mi pierścień dała?...

— O nic pytać nie będą.. Niech pan jedzie spokojnie... Autobus będzie czekał w Nowym Targu...

— Więc nie dowiem się komu zawdzięczam?...

— Poco?... Zresztą dowie się pan, ale później... później... Teraz zbyteczne... Żegnam pana... już czas... Bramę zostawiłam otwartą.

Kiedy Korabiec znalazł się na ulicy i owiało go orzeźwiające powietrze nocy wiosennej — w pierwszej chwili zdawało mu się, że śnił... Ta czarna kobieta w loży prosceniowej, jej nagłe zjawienie się w garderobie, fotografia Doliny Krokusów, plan zamieszkania w willi „Uroczysko" — to chyba halucynacya jakaś, zjawa rozstrojonych nerwów...

Poczuł na palcu chłodne dotknięcie pierścienia. Pierścień istniał i wszystko było prawdą, choć zakrawało na jakąś dziwną fata morgana wyobraźni.

Korabiec machinalnie powtórzył:

— Dolina Krokusów.. Willa „Uroczysko"... Autobus będzie czekał w Nowym Targu...

Był dziwnie oszołomiony... Zapragnął teraz zobaczyć ludzi, wesołe twarze, światło, kwiaty — miał ochotę napić się szklankę dobrego starego wina i roztopić splątane myśli swoje w gwarze rozbawionego tłumu.. To też podążył prosto do „Brustolu" gdzie w „malinowej" sali zastał Renę Zanetoni w towarzystwie dwóch koleżanek i kilku mężczyzn... Całe to towarzystwo śmiało się i rozmawiało bardzo głośno, podniecone wypiciem szeregu kieliszków francuskich likierów... Właśnie w chwili, gdy pojawił się Korabiec, zamawiano szampana.

— Jesteś! — zawołała Rena. — Nareszcie!... Ale też dałeś czekać na siebie!... No, twoje zdrowie!...

Wypił i usiadł obok Reny. Gdy hrabia Czesław, robiący honory gospodarza domu, napełniał złocistym perlącym trunkiem szklanki — Korabiec zapytał cicho swojej sąsiadki.

— Słuchaj, Reno, nie znasz ty przypadkiem tej czarno ubranej, starszej damy, która dzisiaj siedziała w loży prosceniowej?...

Aktorka spojrzała zdziwiona.

— Dama?.. W loży prosceniowej?... Śniło ci się chyba?... Loża prosceniowa była niezajęta... Nie było tam nikogo...

Korabiec wzruszył ramionami przekonany, że wzrok tym razem zawiódł Renę.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Dyrektor teatru zdziwił się mocno, kiedy Korabiec zgłosił się do niego z żądaniem natychmiastowego dwutygodniowego urlopu.

— Ależ panie, teraz kiedy „Mazepa" robi kasę... I mamy rozpocząć próby ze „Zborowskich"... Nikt pana zastąpić nie może...

— Ja jednak wyjechać muszę...

— Ależ dlaczego? co się stało? Nie wygląda pan na chorego!...

— Jestem zdenerwowany, rozstrojony, przemęczony... Muszę wypocząć...

— Miał pan grać w filmie „Tajemnice Starego Miasta"...

— Niech przesuną termin, albo niech sobie znajdą kogo innego... Wszystko mi jedno.

Dyrektor westchnął żałośnie.

— Cóż mam począć z panem!... Jedź pan, panie Zygmuncie, tylko pamiętaj!... nie dłużej niż dwa tygodnie!... I niech pan zostawi adres... bo gdyby coś wypadło...

— Dolina Krokusów — willa „Uroczysko".

— Dolina Krokusów? gdzie to?

— W Tatrach... Godzina jazdy autobusem z Nowego Targu.

— Wie pan, że nigdy nie słyszałem... Znam Zakopane... Witór... Chochołów... Poronin... Bukowinę, ale Dolina Krokusów?!

— Dolina Krokusów jest od tamtych wszystkich miejscowości piękniejsza!... To coś jak z bajki...

— No to przyślij mi pan kartkę z widokiem...

— Nie zapomnę!... bądź pan zdrów, dyrektorze!... Kiedy wrócę — to będę grał!... O! pan zobaczy — jak ja będę grał!...

ROZDZIAŁ II.

Towarzyszka podróży.

Pociąg zakopiański pospieszny po króciutkim przystanku w Kalwaryi Zebrzydowskiej — ruszył pełną parą.

Korabiec z zainteresowaniem spoglądał na górę klasztorną, gdzie z granatowego tła lasów wystrzelały w górę wieżyce klasztoru. Na horyzoncie pasmo łagodnych lesistych wzgórz, u ich stóp zielono-żółta szachownica uprawnych pól.

Korabiec rzadko tędy przejeżdżał i nie zatrzymywał się nigdy. Nie znał więc właściwie okolicy, lecz zawsze uderzała go piękność tego falistego podgórskiego terenu, zarzuconego zielenią lasów, które w słońcu — z oddali wydawały się prawie granatowe.

— Gdyby to było w niemieckich albo francuskich rękach — myślał — pobudowanoby tutaj wspaniałe hotele, rozkoszne wille, obszerne sanatorya.

Pociąg mknął po szynach i wkrótce klasztor Kalwaryjski zniknął z przed oczu podróżnego. Korabiec odwrócił głowę od okna i ze zdziwieniem zobaczył, że nie jest już sam w przedziale I-ej klasy. Naprzeciw niego siedziała młoda kobieta w eleganckim, podróżnym kostyumie.

Pamiętał dobrze, że nie wsiadła w Kalwaryi, nie słyszał też szmeru otwieranych i zamykanych drzwi. Skądże się więc wzięła?

Nieznajoma patrzyła mu w twarz prosto i śmiało wielkiemi oczyma o barwie fali morskiej przed burzą. Nie było w tem jednak cienia kokieteryi ani arogancyi — tylko jakaś niewymuszona swoboda.

Korabiec nie zdawał sobie dokładnie sprawy z tego, czy ta kobieta jest piękna czy też nie, i nie umiałby określić koloru jej włosów, ani linii profilu, ale czuł, że przepływa od niej ku niemu jakiś prąd magnetyczny.

— Którędy pani weszła? — zapytał.

— Bardzo poprostu... — uśmiechnęła się lekko.

— Bo zjawiła się pani doprawdy jak duch... — uśmiechnął się również.

— A czy pan kiedy widział, jak się zjawia duch?...

— Nieraz... na scenie...

— A tak... w białem prześcieradle...

Roześmiali się oboje.

— Pani pozwoli, że się przedstawię.., jestem...

— O! ja pana znam, panie Zygmuncie Korabiec!

— Ze sceny zapewne?

— Tak... ze sceny...

Korabiec nawykł do tego, że kobiety, z któremi zawierał znajomość — okazywały conajmniej wzruszenie, jeśli już nie wpadały w ekstazę. Wszakże był nietylko wielkim, sławnym artystą, ale i pięknym mężczyzną; wyjątkowo pięknym mężczyzną. A ta patrzy tak obojętnie swojemi wielkiemi, mieniącemi oczyma, które zdają się przenikać wskróś człowieka i iść spojrzeniem dalej gdzieś w nieskończoność..

— Jaka ona inna niż te kobiety, które znałem dotychczas... — pomyślał.

— Tak, jestem inna, zupełnie inna, niż te kobiety, które pan znał dotychczas...

Spojrzał zdumiony.

— Skądże pani wie, co pomyślałem?

— Czasem i cichą myśl usłyszeć można, a pan tak głośno myślał...

— Gotówbym przysiąc, żem ani słowa nie wymówił...

— Nie popełniłby pan krzywoprzysięstwa.

— Więc pani odgaduje myśli?!

— O! to tak łatwo odgadnąć to, co musiało być pomyślane...

Korabca przebiegł lekki dreszczyk. Co za niezwykła kobieta... I jakże piękna!... Bo teraz już widział, że jest bardzo piękna... tak i inaczej... inaczej piękna...

— Ale ja panu jeszcze nie powiedziałam swego nazwiska.. Jestem Dorota Odrowążanka z Lanckorony...

Wyciągnęła do niego rękę wązką, alabastrowo białą rękę o smukłych, cienkich palcach... Na czwartym palcu błyszczał osobliwy pierścionek w kształcie węża, którego oczy świeciły czarno-zielonymi kamieniami...

Omało, że nie krzyknął ze zdumienia... Wszak taki sam pierścień otrzymał od starej kobiety w czerni... Miał ochotę zapytać o pochodzenie klejnotu, ale powstrzymała go delikatność. Panna Odrowążanka mogłaby się obrazić niedyskretnem pytaniem. Zwłaszcza, że jej ani jego laury sceniczne, ani sława donżuana nie zdają się imponować.

Zetknęli się wzrokiem i teraz Korabiec skonstatował, że kamienie obu pierścionków mają barwę jej oczu.

— Daleko pani jedzie? — zapytał, czując, że będzie mu ciężko rozstać się z tą kobietą przed kilkunastu minutami poznaną.

— Wysiadam w Nowym Targu...

— Ja także... A stamtąd? pani może do Szczawnicy?...

— Nie... do Doliny Krokusów.

Twarz Korabca zagrała radością.

— I ja także!... Co za szczęśliwy zbieg okoliczności!...

— Ludzie nazywają takie wypadki zbiegiem okoliczności... — wyrzekła Dorota Odrowążanka.

— A gdzie pani zamieszka w Dolinie Krokusów?

— W willi „Uroczysko".

Nie wątpił już, że to przeznaczenie zesłało mu tajemniczą kobietę w czerni. Los chciał, aby on — Zygmunt Korabiec poznał Dorotę Odrowążankę.

— I ja mam mieszkać w willi „Uroczysko"... Będziemy więc razem...

— Tak, razem...

— Ciekawym, czy autobus będzie czekał w Nowym Targu.

— O! napewno... On zawsze czeka na tych, którzy przybyć mają do willi „Uroczysko"...

— Pani zna Dolnę Krokusów?

— Znam doskonale...

— I jakże się ta miejscowość przedstawia?...

— Pocóż opowiadać?... zobaczy pan sam.

— Niech pani sobie wyobrazi, że ja zupełnie nie wiedziałem o istnieniu Doliny Krokusów!... Jeszcze onegdaj byłbym się sprzeczał do upadłego, że niema w Tatrach takiej miejscowości... To zabawne — prawda — jak my mało znamy nasz własny kraj...

— To zabawniejsze, jeśli nie znamy własnej duszy...

Umilkli. Pociąg mknął... Korabiec nie umiałby powiedzieć, czy mu w tej chwili dobrze, ale czuł, że wszelka tęsknota pozostała za nim... I teatr... i Rena... i piękne wielbicielki... i knajpy gwarne i jazne... a tylko przy nim jest Dorota Odrowążanka, a przed nim Dolina Krokusów...

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Autobus z napisem „Dolina Krokusów" — willa „Uroczysko" oczekiwał przed stacyą w Nowym Targu. Dorota Odrowążanka i Korabiec wsiedli jako jedyni pasażerowie do autobusu, którego zadaniem było przywozić gości do willi „Uroczysko". Szofer puścił motor w ruch i autobus ruszył.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa.

Miał racyę zupełną, kto powiedział, że maj jest najkrótszym miesiącem w roku. Ów filozof motywował swe twierdzenie tem, że nazwa jego składa się tylko z trzech liter, przekonujemy się jednak, że w maju upływa czas jakoś szybciej, niż w innej porze roku, bo ani oglądnęliśmy się, nie mieliśmy czasu nasłuchać się śpiewu słowików i zastępujących je w Krakowie kawek i gawronów, a tu właściwie już po maju.

Przyczyniła się do tego mnogość wrażeń, jakie w tym okresie przeżyliśmy, zwłaszcza, że pierwsza połowa maja przeznaczoną była przeważnie na próżniactwo z powodu całego zatrzęsienia różnorodnych świąt, a druga na konieczny wypoczynek po tem próżniactwie. Poza tem mieliśmy dwie wizyty, marszałka Focha i angielskiego szefa sztabu jeneralnego, nie mówiąc już o innych, mniej znacznych, do trzeciej, t. j. do powitania króla rumuńskiego właśnie się przygotowujemy, ucząc się wiwatować po rumuńsku. Serce każdego Polaka rozpiera radość, że sprzymierzeńcy i sąsiedzi odnoszą się do nas z taką sympatyą, gościmy ich, czem chata bogata, a oni zgodnie utrzymują, że polska kuchnia jest wcale znośna i nie pozostawia po sobie złych następstw, które byłoby trzeba usuwać sztucznymi środkami. Drogą na żołądek zdobywamy sobie ich serca, a sala Starego Teatru, gdzie się odbywają rauty i bankiety zyskuje znaczenie historyczne, daleko większe, niż je miały mieszczące się tam dawniej sale redutowe.

Wogóle staje się Kraków coraz większem miastem, o którem mówi się i pisze daleko więcej, niż o dawnym Krakowie, o którym wiedziano tyle, że leży nad Wisłą, niegdyś był stolicą królów polskich, a później słynął z wyrobu kiełbas, które zyskiwały nam sympatyczne wspomnienia i uznanie sąsiadów. Dziś kiełbasy krakowskie należą już do tradycyi, smak ich znany jest jedynie starszemu pokoleniu, usiłowania ludzi dobrej woli, aby wskrzesić ich sławę, spotkały się z opozycyą Warszawy, bardzo niechętnie spoglądającej na rozrost swych konkurentów i konkurentek, a rzadko które państwo posiada tyle stolic, co Polska, więc też Warszawa może ma i słuszność, jeśli tak zabiega o utrzymanie swego stołecznego prestigeu. Stolicą jest Kraków, jest nią także Poznań i Wilno, Lwów nosi miano stolicy kresowej, a Zakopane stolicy letniej, nie mówiąc już o innych miejscowościach, gdzie napotykać można również stołeczne aspiracye, bo Tarnopol słusznie uważa się za stolicę byłego galicyjskiego Podola, Kołomyja Pokucia, ksiądz Okoń chciał swojego czasu ogłosić w Tarnobrzegu republikę, nawet Kłaj i Facimiech nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby je uznano za stolice. Może zatem Warszawa być zazdrosną o swe prawa, *de facto* jest ona bowiem jedyną stolicą, jako siedziba rządu i źródło, z którego rozchodzą się różne cenne rozporządzenia, kłócące się wprawdzie czasem ze zdrowym rozsądkiem, ale mimo to mające moc obowiązującą. Nasze sfery decydujące okazują szczególniejszą predylekcyę do kalendarza, jak gdyby nie miały nic lepszego do roboty, znoszą jedne święta, ustanawiają inne, a to tylko po to, aby psuć papier i atrament, takie dziś droge, i wprowadzać ogólny rozgardyasz. W stolicy urzęduje jeneralny komisarz do walki z drożyzną, który miał odegrać rolę św. Jerzego i zatłamsić drożyźnianego smoka, ale to mu się dotąd jeszcze nie udało, bo ta bestya apokaliptyczna odznacza się nadzwyczajną żywotnością i doskonałym humorem, nic sobie nie robiącym z wszelkiego rodzaju rozporządzeń komisarzowych, odbijających się od jej skóry, niczem piłki elastyczne i nie wyrządzających jej żadnej szkody, gdy miały być śmiercionośnemi kulami, przeznaczonemi na jej zagładę. Warszawski urząd drożyźniany obliczył najdokładniej, że w pierwszej połowie maja wzrosła drożyzna tylko o sześć procent i coś tam setnych, można zatem z otuchą spoglądać w przyszłość, zwłaszcza, że pan minister skarbu dodaje równocześnie, iż z miesiąca na miesiąc zmniejsza się zadłużenie skarbu państwowego, co wpłynąć musi dodatnio na rozwój cycia ekonomicznego, a choć kieszenie nasze mówią zupełnie co innego, musimy się na to zgodzić, bo *Varsovia locuta causa finita*.

Nie odbierając Warszawie jej praw stołecznych musimy przecież przyznać, że Kraków nie jest od niej gorszy i ma zupełne prawo do używania tytułu stolicy, wprawdzie dziś emerytki, ale w każdym razie stolicy. Z tego tytułu jest dumny i odebrać go sobie nie pozwoli starając się wszelkiemi siłami aby sobie zyskać odpowiednie znaczenie u swoich i obcych. Przychodzi mu to tem łatwiej, że niebiosa spoglądają na stary gród Krakusa jakiemś obecnie łaskawszem okiem, i gdy dawniej darzyły nas zwykłą szarzyzną życia, obecnie coraz częściej nastręczają sposobności, aby o nas mówiono i pisano szeroko. Senzacyi nie brak, jeśli nie samolot w kominie, to bomba, robiąca wiele huku i strachu, ale jakaś łaskawa, bo nie pociągająca za sobą ofiar w ludziach. W ciągu miesiąca mieliśmy trzy bomby, jednę od drugiej głośniejszą, ostatnia, z ubiegłego tygodnia, która wystąpiła gościnnie w budynku, gdzie się mieści redakcya *Nowego Dziennika*, narobiła stosunkowo najwięcej szkody, a organa policyjne, tropiące sprawców poprzednich zamachów, przyprawiła o prawdziwie czarną rozpacz, której nie zdołała zmniejszyć nawet notatka jednego z pism krakowskich, donosząca, że śledztwo w tym wypadku nie przedstawi trudności, gdyż uprzejmy sprawca pozostawił na miejscu zbrodni swój bilet wizytowy.

Dwa grzyby w barszcz, mówią ludzie, a przedewszystkiem kucharki, to za wiele, przekonaliśmy się o tem z okazyi dwu pierwszych bomb, łamiąc sobie głowę nad tem, dla kogo i przez kogo przeznaczoną była ta głośna owacya, jak dotąd, wiemy, tylko tyle, że śledztwo toczy się, jest na dobrej drodze i nie jest wykluczone, że sprawcy mogą się dostać w ręce karzącej sprawiedliwości. Ale, gdy w barszczu znalazł się trzeci grzyb, t. j. wybuchła bomba przy ulicy Elizy Orzeszkowej, nawet najbardziej zrównoważony Krakowianin musiał utracić swą zwykłą pogodę umysłu i powiedzieć sobie: „Takie trzy grzyby, to jednak stanowczo za wiele!...", a echo dodaje do tego głucho: „Dalszy ciąg nastąpi!". Bogu ducha winien obywatel rozszerzonego Krakowa ze ściśniętem ze strachu sercem spogląda obecnie w każdy kąt, czy przypadkiem nie dymi gdzie lont podłożonej bomby, która ułatwiłaby mu powiększenie w tani sposób grona aniołków, co wieczór zagląda troskliwie nawet pod łóżko, aby się przekonać, czy oprócz pantofli i innych przedmiotów, miejsce tam mających, nie znajdzie się coś podejrzanego, podłożonego ręką przeciwnika politycznego, współzawodnika w interesie lub miłości. A ponieważ Krakowianie, jak ich jest ponad dwieście tysięcy, do tych trzech kategoryi właśnie należą, zajmując się żywo polityką, interesami i miłością, można sobie łatwo wyobrazić, jaka u nas ogólna panuje konsternacya, dzięki której Kraków wygląda, jak gdyby był na wulkanie. Ludzie patrzą na siebie z podełba, jeden wietrzy w drugim bombiarza, mimowoli drży ręka, gdy się ją wyciąga po tak nawet niewinny artykuł, jak bombka piwa, tracąca dziś swój urok z tego właśnie powodu, że się tak paskudnie nazywa.

Socyalista wskazuje na endeka, jako na zbrodniarza czyhającego na całość i bezpieczeństwo współobywateli, twierdząc, że „ósemka" przypomina swym kształtem akurat bombę, antysemita jest zdania, że to robota żydowska albo masońska, aby zatem położyć kres niepotrzebnym posądzaniom, byłoby wskazane, aby sprawca dobrowolnie się zgłosił, a w dowód wdzięczności wmurujemy mu tablicę pamiątkową, gdzie zechce i na jego cześć urządzimy pochód z banderyą Krakusów, bo ten punkt programu wszelkich uroczystości jest dla komitetu urządzającego, jak okazało ostatnie doświadczenie, połączony z najmniejszymi kosztami.

Z okazyi przyjazdu do Krakowa marszałka Focha zwrócono się do znanego tutejszego kupca, p. Teofila Nikla z propozycyą, aby zechciał się zająć zorganizowaniem banderyi Krakusów, ponieważ życzą sobie tego czynniki miarodajne i obiecują poparcie przedsięwzięcia. P. Nikiel, który oprócz zajęć w zawodzie Merkurego oddaje się z zapałem także i sportowi i kilkakrotnie organizował już banderye krakowskie na różnych uroczystościach narodowych, podjął się zadania i dołożył wszelkich starań, aby oddział Krakusów mógł zaimponować gościom. Konna banderya, w sile stu sześćdziesięciu koni, przedstawiała się okazale, ale organizator i dowódca jej miał wiele ciężkich orzechów do zgryzienia, poparcie bowiem, jakie mu obiecano, ograniczyło się do tego, iż odsyłano go od jednego dygnitarza do drugiego, a z ust każdego dowiedział się, że ta sprawa do zakresu jego działalności nie należy i poparcia jej, przedewszystkiem materyalnego, użyczyć nie może. A chyba zrozumie każdy, że stu sześćdziesięciu ludziom, którzy z okolicy przybyli do Krakowa, trzeba cośkolwiek dać przetrącić i bodaj lekko zwilżyć ich spragnione gardła. Nie pozostawało zatem panu Niklowi nic innego, jak Krakusów nakarmić i napoić swoim kosztem, co pociągnęło za sobą wydatek kilku marek z odpowiednią ilością zer na końcu i nauczyło, aby na przyszłość nie wierzył obietnicom jakiegokolwiek poparcia ze strony tych, którym powinno zależeć na tem, aby dana uroczystość wypadła jak najwspanialej. Organizator banderyi nie miał nawet tej satysfakcyi, aby o nim publicznie wspomniano, w komunikatach, zamieszczonych w pismach codziennych, słowa uznania skierowano pod adresem jakiegoś obywatela z Miechowskiego i nauczyciela stamtąd, który rzekomo głównie zasłużyli się około zrealizowania tego punktu programu przyjęcia.

Sprawa krakowskich bomb zaczyna się stawać coraz bardziej aktualną, świadczy o tem podniesienie nagrody, wyznaczonej przez ministerstwo spraw wewnętrznych za wykrycie sprawcy z miliona na trzy miliony. Dowiedzieliśmy się przy tej sposobności, że listy z pogróżkami otrzymała także redakcya *Nowej Reformy* i *Naprzodu*, a właściciele pralni skorzystali ze sposobności, aby podnieść cennik. Z Warszawy przybyło do Krakowa dwu wyższych wzrostem dygnitarzy policyjnych, którzy mają za zadanie zbadać na miejscu sprawę bomb, a przy tej sposobności stwierdzić, o ile się to oczywiście da, ile prawdy jest na tem, co donieśli władzom centralnym ich delegaci, iż entuzyazm krakowskiej publiczności podczas powitania Francuzów był tak wielki, że w braku kwiatów posługiwano się kamieniami. Wysłańcom warszawskim zarzucić się musi albo krótkowzroczność, albo też chęć zdyskredytowania Krakowa na korzyść Warszawy.

Kto w Krakowie podkłada bomby, tego, podobnie jak policya, nie wiemy, ale to musi im każdy przyznać, że są to jednostki nie pozbawione uczucia, skoro potrafią urządzać w ten sposób swe zamachy, iż ludzkość, jako taka, żadnej szkody nie ponosi, poniekąd nawet korzysta, ożywia się bowiem ruch budowlany i połączone z nim gałęzie przemysłu. Pod tym względem daleko od nas niżej stoi Warszawa, tamtejsi zamachowcy nie są bowiem tak humanitarnie usposobieni. Dowodem choćby ostatni zamach na wiceprezesa Głównej Komisyi Ziemskiej, Olwińskiego, który padł od kuli osobnika, mającego z nim osobiste porachunki. I w tym wypadku wspomina się o motywach politycznych i mimowoli zastanawia się nad tem, czy też przypadkiem afera ta nie stoi w jakiej łączności z tworzącą się obecnie większością sejmową, spotykającą się na każdym kroku z takiemi trudnościami.





Chmury lozańskie: Horacy Rumboldt, kierownik delegacyi angielskiej.

Chmury lozańskie.

Na konferencyi lozańskiej wre żmudna, gorączkowa praca. Komisye targują się o każdy punkt i każdą literę traktatu lozańskiego. Wypracowany jako projekt przez pierwszą konferencyę lozańską, ma on wreszcie stać się obowiązującym aktem międzynarodowym. Atmosfera naładowana jest jednak elektrycznością i w czasie obrad zbierają się ciągle chmury, grożące zerwaniem się nowej burzy na Wschodzie. Już w pierwszych dniach mająca zdawało się, że konferencya zostanie zerwaną. Nagle przyszła bowiem do Lozanny wiadomość, że Turcya koncentruje znaczne siły zbrojne na granicy Syryi.

Nie była to pogłoska, gdyż jen. Pellé w rozmowie z Ismet-baszą mógł wyliczyć dokładnie numery dywizyi i liczbę wojsk, które pod rozkazami Dżawad-baszy zgromadziły się na granicach Syryi. Delegacya turecka nie zaprzeczała informacyom francuskim, usiłowała tylko nadać im inny charakter. Ismet-basza oświadczył przedstawicielowi Ajencyi Havasa, że „niema koncentracyi wojsk na granicy turecko-syryjskiej, są to ruchy wojsk na całem terytoryum ottomańskiem, żaden front nie jest w tej akcyi wyróżniany".

Oczywiście te zapewnienia jenerała tureckiego nie wystarczyły. Rząd francuski jeszcze tegoż dnia mianował dowódcą swoich sił zbrojnych w Syryi jen. Weygand'a, a jakie to ma znaczenie, Polska może ocenić najlepiej, bo w chwili gdy Rzeczypospolitej groziło niebezpieczeństwo, ten właśnie szef sztabu marszałka Focha został wydelegowany do Polski.



Chmury lozańskie: Przewodniczący franc. delegacyi, jenerał Pellé.

Rząd francuski nie ograniczył się do tej delegacyi, która zrobiła duże wrażenie na Bliskim Wschodzie. W słowach mocnych i stanowczych zakomunikował rządowi angorskiemu, iż rokowań pod groźbą walki w Syryi prowadzić nie będzie. Skutek tego oświadczenia był niezwykle szybki. Ismet-basza, przesyłając zawiadomienie o nocie francuskiej w sprawie koncentracyi wojsk na granicy Syryi, czemu poprzednio prawie zaprzeczał, jednocześnie pisał do swego rządu, że „jeżeli koncentracya nie będzie wstrzymana, ostatnie widoki pokoju na wschodzie znikną".

Incydent został w ten sposób wyczerpany, ale konferencya lozańska odbywa się nadal w atmosferye nerwowego napięcia i oczekiwania, że normalny jej bieg mogą lada chwila przerwać groźne wiadomości ze Wschodu. Wprawdzie od czasu Mundanii stan rzeczy nad cieśninami zmienił się. Anglicy usadowili się poważnie w Gallipoli, a armia grecka nad Maricą zorganizowała się i liczy do 100 000 ludzi, wobec czego nowa wojna w tych warunkach mogłaby Turcyi angorskiej przynieść stratę tego wszystkiego, co dotychczas zdobyła. Niemniej śmiała polityka Kemala-baszy może i tu zgotować Europię jeszcze niejedną „niespodziankę".



Chmury lozańskie: Ismet basza, kierownik delegacyi tureckiej w rozmowie z szefem angielskiego Biura Prasowego.



Gościna Alfonsa XIII. u Belgów: Defilada przed ratuszem w Brukseli na cześć hiszpańskiej pary królewskiej. Na balkonie królestwo hiszpańscy i belgijscy.



Chmury lozańskie: Kierownik delegacyi japońskiej na konferencyę, Otchiaï.

Gościna Alfonsa XIII. u Belgów.

Wojna światowa przerzedziła bardzo szeregi głów koronowanych, opłaciło ją utratą swych tronów trzech cesarzy i sułtan, nie wspominając już o całym szeregu królów i królików oraz książąt, którzy zniknęli z widowni. Pozostali u władzy panujący mają wprawdzie kłopot, musząc wspomagać swych emerytowanych kolegów, z drugiej jednak strony znacznie ułatwiło się spełnianie funkcyi monarszych, polegających głównie na składaniu oficyalnych wizyt na obcych dworach, co ma być widomym znakiem przyjaznych stosunków, łączących dane kraje.

Wizyta o której w niniejszym numerze wspominamy nie była jednak następstwem zwykłej zdawkowej grzeczności politycznej. Król hiszpański Alfons i królowa Wiktorya odwiedzili ziemię belgijską, gdzie pod Ypres zginął bohaterską śmiercią brat królowej, a ludność kraju skorzystała ze sposobności, aby hiszpańskiej parze królewskiej złożyć dowody niekłamanej życzliwości i sympatyi za wszystkie dobrodziejstwa, jakich z jej strony doznała w ciągu wielkiej wojny. Ambasador hiszpański margrabia Villalobar był w czasie okupacyi Belgii przez Niemców prawdziwym opiekunem gnębionych, królowa Wiktorya wspierała hojnie dzieła chrześciańskiego miłosierdzia. Pobyt królestwa hiszpańskich w Belgii trwał od 3--6. maja b. r., miejscem głównych owacyi była Bruksela, gdzie zgromadziły się delegacye ludności całego kraju, owacyjnie witano gości także i w innych miejscowościach, jak Charleroi, Ypres, Belgowie nie żałowali serca, aby okazać prawdziwą wdzięczność tym, którzy im w ciężkich czasach spieszyli z pomocą.

Na wodach Pacyfiku.

Opinia francuska zajmuje się obecnie żywo wyprawą, wysłaną na wody Pacyfiku, a mającą za zadanie wzmocnienie wpływów francuskich w tych stronach. Oprócz celów politycznych ma ona na oku także naukowe i ekonomiczne, w jej skład wchodzą obok przedstawicieli wojskowości i polityki także reprezentanci świata naukowego i handlowego.

Ekspedycya, składająca się z krążowników *Victor Hugo* i *Jules Michelet*, a pozostająca pod rozkazami admirała Gilly, opuściła port w Brescie, 12 października ub. r., właściwą swą podróż rozpoczynając od Dżibuti, a dalszymi jej etapami były wyspy Madagaskar i Reunion, skąd skierowała się ku brzegom australskim. Rozpoczynając od wybrzeży zachodnich, odwiedzono kolejno prawie wszystkie ważniejsze porty australskie, między nimi Freemantle i Melbourne, gdzie wylądowano 27 grudnia. Wszędzie spotykali się Francuzi z bardzo serdecznem przyjęciem tak ze strony swych licznie bawiących tu rodaków, jak i władz angielskich i ludności tubylczej. Z Australią pozostaje Francya w ożywionych stosunkach handlowych sprowadzając stąd skórę, wełnę i zboże a dostarczając w zamian artykułów mody, biżuteryi, win, likierów itd. Członkowie cywilni wyprawy urządzili wycieczkę w głąb kraju i zwiedzili Nową Południową Walię.

Drogą na Nową Zelandyę wyruszono na wody japońskie, dokąd przybyto w dniu 3 marca b. r., odwiedzając Jokohamę, Tokio, Kobe, Nagasaki. I tutaj witano Francuzów bardzo serdecznie, spotkało ich odznaczenie, jakie dotąd nie stało się udziałem żadnego innego państwa. Oto po raz pierwszy odwiedzili pokład francuskiego krążownika *Jules Michelet* członkowie rodziny panującej: książę Chichibu, młodszy syn cesarza Mutsuhito, książę Yamashina i księżniczki Higashi-Kuni, Takeda i Asaka, w otoczeniu licznego dworu, adjutantów, dam honorowych i td. W Tokio urządzili francuscy marynarze publiczny koncert w parku przy udziale ponad pięćdziesiąt tysięcy słuchaczy.

Z Japonii rozpoczęto drogę powrotną do Europy na Szanghaj, Hongkong, Singapore, Bombaj, Dżibuti, Port-Said do Tulonu, gdzie eskadra francuska spodziewana jest mniejwięcej w połowie lipca. W ciągu dziewięciu miesięcy, w 121 dniach żeglugi, przebyć ma wyprawa ogółem 33.500 mil morskich.



Chmury lozańskie: Montagna, szef delegacyi włoskiej.

Zaślubiny na dworze angielskim.

(Do illustracyi na stronie 4)

Syn króla angielskiego książę Yorku Albert poślubił niedawno lady Elżbietę Bowes-Lyon. Uroczystość zaślubin odbyła się według dawnego ceremoniału w opactwie westminsterskiem.

Zamieszczona w niniejszym numerze fotografia przedstawia akt zaślubin w obecności całego dworu angielskiego i weselnych gości. Nadto podajemy fotografię młodej pary w gronie rodziny królewskiej.

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków, mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie wskazać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya „Nowości Illustrowanych", Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.*



Na wodach Pacyfiku: Japońska rodzina cesarska zwiedza w Jokohamie w towarzystwie ambasadora francuskiego pokład krążownika *Jules Michelet*.

KONKURS NAJPIĘKNIEJSZYCH KOBIET W POLSCE



Stanisława Czyżowa, Ustrzyk.



M. Golakowska, Bydgoszcz.



Grażyna Piekosińska, Kraków.



Helena Sokołowska, Zakopane.

Kult piękna jest jednym z ważniejszych czynników w duchowym rozwoju ludzkości. Jego dziełem jest świat sztuki – artystyczny dorobek wieków. Ale sztuka jest tylko indywidualnem odbiciem i ujęciem piękna w naturze. Piękno to odnajdujemy i podziwiamy we wszystkich zjawiskach i tworach przyrody, a przedewszystkiem u królowej stworzenia – kobiety. Twarz kobieca – ten najwdzięczniejszy temat dla artystów, tworzących poematy malarskie, jest w naturze najbardziej bezpośrednim wyrazem piękna. Tutaj natura idzie w zawody ze sztuką. Dlatego też nie są pozbawione znaczenia artystycznego urządzane we wszystkich krajach i cieszące się ogromnem powodzeniem konkursy piękności dla kobiet. Takie konkursy, urządzone w Krakowie na kilku balach podczas ubiegłego karnawału, wzbudziły duże zainteresowanie, choć były tylko ograniczone do szczupłego grona uczestniczek zabawy. To zachęciło nas do ogłoszenia

KONKURSU NAJPIĘKNIEJSZYCH KOBIET W POLSCE

Panie pragnące stanąć do tego konkursu zechcą przesłać pod adresem Redakcyi „Nowości Illustrowanych“, Kraków ul. Kazimierza Wielkiego 95. swą **fotografię z własnoręcznym podpisem.** Do fotografii należy dołączyć wypełniony blankiet, który znajduje się na ostatniej stronie naszego pisma. (Fotografie nadesłane przez osoby trzecie nie będą uwzględnione). Nadsyłane fotografie będą oddane do oceny specyalnej komisyi artystycznej a ta zaopiniuje, które z nich zostaną zamieszczone w „Nowościach Illustrow.„ **w gronie najpiękniejszych kobiet.** Podobizny te będziemy zamieszczać w miarę ich napływania w każdym numerze. Po wyczerpaniu wszystkich nadesłanych fotografii, nastąpi **rozstrzygnięcie konkursu przez głosowanie Czytelników „Nowości Illustrowanych“.** Będą **trzy nagrody** 1) roczna prenumerata „Nowości Illustrowanych“, 2) półroczna i 3) kwartalna. Nadto wszystkie nagrodzone panie otrzymają **artystycznie wykonane dyplomy pamiątkowe.** – Termin głosowania i jego warunki podamy później, obecnie zaś zapraszamy panie do wzięcia udziału w konkursie i nadsyłania nam swych fotografii.

Konkurs najpiękniejszych kobiet w Polsce

Upoważniam Redakcyę „Nowości Illustrowanych" do zamieszczenia mojej fotografii w dziale konkursowym

(Własnoręczny podpis): ....

Dokładny adres: Imię i nazwisko (wyraźnie)

Miasto (ostatnia stacya pocztowa)

Ulica .... Nr.

O G Ł O S Z E N I A

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Dr. Witold Lipiński Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina, pod zarz. L. Gronusia.